

7. Cnota bezużyteczności

Wielu było pisarzy, profesorów i osób opiniotwórczych, którzy chcąc jak najszybciej przekazać myśli i uczucia, jakie ich zainspirowały, zderzali się nagle z myślą: „To nieistotne”. W świecie współczesnej komunikacji masowej, w którym media społecznościowe grupują ludzi w stada, każde pojawienie się czegoś niecodziennego, nieaprobowanego i mającego niewielkie znaczenie, czegoś, co pochodzi spoza danej grupy – jest coraz częściej odrzucane. Ta mentalność stada wkracza do świata edukacji w sposób zagrażający młodym ludziom.

Zacząło się na długo przed erą Facebooka i Twittera. Faktycznie zapoczątkował to John Dewey swoim wezwaniem do „edukacji skupionej wokół dziecka”. Nie przestaje mnie zadziwiać wpływ Johna Deweya na myślenie amerykańskie, a zwłaszcza na edukację. Jeśli jakikolwiek pisarz mógłby być przykładem tego, co Schopenhauer miał na myśli, mówiąc o „płytkim optymizmie”, to byłby nim właśnie Dewey, który zakamuflował samozadowolenie miernoty pod maską mądrości, jak wiekowa ciocia prowadząca poradnik w staromodnym magazynie dla kobiet. Cóż może być większą parodią idei i obowiązków nauczyciela niż wymyślić, że to dziecko i jego zainteresowania mają wyznaczać tok lekcji? A jednocześnie coś mogłoby być bardziej atrakcyjne dla ludzi o miękkim sercu, ignorantów i leni? Jakież to prezent dla gnuśnego nauczyciela i jakaż zbrodnia na dziecku!

Z filozofii edukacyjnej Deweya wyrosła „rewolucja użyteczności”, jaka pojawiła się w szkolnictwie. Dawny program nauczania, który kładł nacisk na czystą matematykę, języki klasyczne, starożytną historię i wielostronicowe książki, przedstawia się w niej jako obrazę dla współczesnych dzieci, jako pewnego rodzaju obelgę dla ich świata i ich nadziei na przyszłość. Poprzez uczenie ich poprawnego pisania, gramatyki, wypowiedzi, przyswojenia sobie zasad dobrego wychowania i hierarchii wartości rodziców i dziadków, odcina się ich od ich własnej sfery aktywności. W miejsce całej tej tak zwanej wiedzy, która nie jest niczym innym, jak tylko marnymi resztkami po świecie umarłych, powinno się dzieciom dać ich własny program, nakierowany na ich własne życie.

Bezpośrednim skutkiem tej rewolucji użyteczności było wprowadzenie do szkół przedmiotów mających znaczenie dla samych nauczycieli – takich jak sprawiedliwość społeczna, równość płci, rozbrojenie nuklearne, ubóstwo w krajach Trzeciego Świata, prawa osób LGBT. Wymyślono też kolejne przedmioty, które zastąpiły dawne: historię, geografię czy język ojczysty: „wiedza o pokoju na świecie”, „wiedza o świecie”, „studia nad ideologią gender” i tak dalej. Nauka języków klasycznych praktycznie wymarła i dziś w Wielkiej Brytanii – a jestem pewien, że i w USA także – rzadko można spotkać szkołę, w której uczy się języka niemieckiego, a w zasadzie jakiegokolwiek innego nowożytnego języka poza francuskim i hiszpańskim. Oczywiście może to być wynikiem tego, że mamy coraz mniej nauczycieli z wykształceniem odpowiednim do uczenia według dawnego programu. Jednak smutne to czasy dla edukacji, kiedy utratę wiedzy opisuje się jako zysk – gdy dawny program nauczania, opierający się na przedmiotach, które przez wiele dziesięcioleci udowodniły swoją przydatność, zastępuje się programem opartym wyłącznie na przyczynach i skutkach dnia bieżącego. W każdym razie jeśli ktoś może myśleć, że tak rozumiana użyteczność jest wyrazem szacunku dla dziecka, jakiego brakowało w dawnym

programie opartym na wiedzy, to znaczy, że sam ma potężny deficyt wrażliwości.

Szacunek dla dziecka oznacza szacunek dla dorosłego, którym kiedyś się stanie, oznacza wskazywanie mu drogi do wiedzy, umiejętności i społecznego obycia, jakich będzie potrzebowało, jeśli ma być szanowane w szerokim świecie, gdzie samo będzie musiało sobie poradzić. W wypadku nauczyciela szacunek dla dzieci oznacza dawanie im wszystkiego, co się posiada w zakresie wiedzy, uczenie ich odróżniania prawdziwej wiedzy od opinii i zapoznanie ich z dziedzinami, które kształtują umysł na przyjęcie nieznanego. Na przykład zaniechanie łaciny i greki z tego powodu, że nie są „istotne”, oznacza, że zakłada się naukę języka obcego, aby – jak to ujął Matthew Arnold – „toczyć bitwy na śmierć i życie z kelnerami w zagranicznych hotelach”. Oznacza, że pomija się literaturę i historię, jakie odsłaniają się przed otwartym umysłem poprzez te języki, które niegdyś zmieniły świat; ignoruje się dyscyplinę narzucaną przez ich głęboką i trwałą gramatykę. Starożytne języki pokazują nam jasno, że niektóre zagadnienia są **WEWNĘTRZNIE** interesujące nie tylko ze względu na możliwość ich praktycznego wykorzystania; a rozumiejąc je, dziecko może uzmysłowić sobie, jak bardzo nieistotny dla życia umysłowego jest pościg za „istotnością”.

Co więcej, dokładnie z tego powodu przywiązanie do nieistotnej wiedzy jest dyscypliną umysłową, która może być pomocna w przystosowaniu się do nowego i nieprzewidywalnego. To właśnie bezużyteczność wszystkiego, co umieli, pozwoliła grupie tysięcy brytyjskich urzędników państwowych, biegłych w łacinie, grece i historii starożytnej, panować nad całym Półwyspem Indyjskim – może nie idealnie, ale pod wieloma względami lepiej, niż był on zarządzany w ciągu ostatnich lat. To właśnie dyscyplina w zajmowaniu się rzeczami nieprzydatnymi do natychmiastowego wykorzystania pozwoliła tym urzędnikom poświęcić uwagę sytuacjom, jakich nie mogliby sobie wyobrazić, zanim musieli stawić im czoła – obcym

językom, alfabetom, religiom, zwyczajom i prawu. Nieprzypadkowo to właśnie naukowiec z klasycznym wykształceniem – sędzia Sir William Jones, założyciel Towarzystwa Azjatyckiego w Bengalu w 1788 roku – był tym, który zrobił najwięcej, aby ocalić od zapomnienia literaturę sanskrycką. To on przedstawił światu (włączając Indie) święte księgi hinduizmu, Wedy, i zapoczątkował wśród współczesnych sobie badania poświęcone zasadom i repertuariowi klasycznej muzyki indyjskiej.

To wszystko jest niezwykle istotne dla nauczyciela, który chce zapoznać uczniów z tradycją muzyki Zachodu i kulturą uczęszczania na koncerty do sal koncertowych. Ręka w rękę z rewolucją użyteczności pojawiła się idea „równości” w szkole – gdzie żadne dziecko nie może „zostać w tyle”, niezależnie od tego, czy ma do danej rzeczy predyspozycje. Szczególnie ucierpiała z tego powodu muzyka, ponieważ jest to przedmiot, którego można dobrze nauczyć jedynie kogoś muzykalnego, co oznacza, że rozpoczyna się on od aktu selekcji. Co więcej, nawet utalentowani uczniowie są poza szkołą bombardowani piosenkami o banalnych frazach zbudowanych na trzech standardowych akordach i bezlitosnym metrum 4/4, które wypełniają uszy chwytliwym kiczem. Jak w takich okolicznościach rozpocząć edukację muzyczną?

Repertuar klasyczny, co rozumie się samo przez się, nie jest „istotny” dla ludzi wychowanych na muzyce pop. To wytwór innego i dawnego świata, tego, w którym ludzie mogli doświadczać muzyki tylko wtedy, gdy oni sami, lub ktoś w ich najbliższym otoczeniu, był zaangażowany w jej tworzenie. Była to sztuka wykonawcza, w wyjątkowy sposób zbliżająca do siebie ludzi i w swoich źródłach ściśle związana ze sztuką improwizacji na temat melodii. Muzykę wykonywano, ale także słuchano, tańczono do niej i śpiewano, oraz studiowano dla jej wewnętrznych wartości. Była fundamentalna dla wykształcenia od momentu, gdy Platon założył swoją Akademię. Od rozkwitu muzykologii w oświeceniu aż do współczesnych kon-

serwatoriów i akademii muzycznych muzykę nauczano jako dziedzinę będącą zbiorem nagromadzonej wiedzy, której wagę rzadko może pojąć ktoś niewykształcony muzycznie, a zwłaszcza – przeciętne dziecko. Muzyka jako dyscyplina akademicka jest równie „istotna” jak greka czy sanskryt. I niezależnie od tego, jak bardzo my, naukowcy, podkreślamy przydatność bezużytecznego, zawsze zostaniemy odrzuceni w imię istotności i usłyszymy, że nasz program nie ma żadnego znaczenia dla obecnej muzykalnej młodzieży.

Jako kontrargument dla takiej tezy nie wystarczy wskazać wszystkie sposoby, w jakie użyteczny program dewaluuje naukę, stawiając ignorancję jako miarę do wskazania tego, co powinno być nauczane. To, co odbieramy jako ignorancję, jest bowiem często wygładzoną i dostosowaną do warunków zewnętrzną formą nagromadzonej wiedzy – i tak na przykład brak obycia prostych ludzi uderza niestosownością w wyrafinowanym towarzystwie tylko dlatego, że niektóre formy wyrafinowania opierają się właśnie na ukrywaniu dużego zasobu towarzyskiej wiedzy. Analogiczna sytuacja występuje w przypadku muzyki ludowej i tradycji improwizacji, z której ona wyrasta – są one formami zbiorowej wiedzy; i to samo można powiedzieć o większości muzyki pop, łącznie z tą jej częścią, która żłobi ścieżki uzależnienia w słuchu młodzieży.

Prawdziwym zarzutem w kierunku użyteczności jest fakt, że stanowi ona przeszkodę na drodze do odkrywania samego siebie. Około sześćdziesiąt lat temu zostałem wprowadzony w świat muzyki klasycznej przez nauczycieli, którzy nie tracili czasu na ocenę mojego młodego gustu i nie szli na ustępstwa w stosunku do mojego wieku ani charakteru. Wiedzieli jedynie, że otrzymali pewną spuściznę, a z nią także obowiązki, jakie musieli przekazać dalej. Gdyby tego nie zrobili, ta wielka spuścizna zniknęłaby. Odkryli we mnie duszę, która była w stanie ją przyjąć – i to im wystarczyło. Nie zadawali sobie pytania, czy repertuar klasyczny był znaczący dla moich zainteresowań, podobnie jak matematyk nie fatyguje się

pytaniem, czy twierdzenia, jakich naucza, pomogą uczniowi w składaniu zeznań podatkowych. Zakładali, że skoro wiedza muzyczna, którą chcieli się podzielić, ma niekwestionowaną wartość, to mogłem z niej tylko skorzystać. Nie mogłem jednak zrozumieć korzyści płynących z tej wiedzy dopóty, dopóki jej sobie nie przyswoiłem. Gdyby brało się pod uwagę moje pragnienia w tej kwestii, byłoby to dokładnie zignorowaniem ważnego faktu, że zanim nie zapoznam się z muzyką klasyczną, nie mogę wiedzieć, czy stanie się ona kiedyś częścią mojego życia.

Kiedy już dostrzeże się logikę stanowiska moich nauczycieli, należy również przyznać, że jeśli zdajemy sobie sprawę z tego, czym jest muzyka, to mamy także obowiązek pomóc młodym ludziom w jej zrozumieniu, niezależnie od jej „istotności”. Powinniśmy to robić tak, jak to się działo zawsze, czyli poprzez zachęcanie uczniów do wspólnego muzykowania. Jeszcze nie tak dawno temu w każdej szkole był chór, którego członkowie uczyli się śpiewać z podziałem na głosy, a także czytać nuty. Ten zwyczaj znakomicie przyczyniał się do rozwijania słuchu chórzystów w kierunku harmonii i zasad prowadzenia głosów. Stamtąd był już tylko mały krok do lekcji z harmonii i kontrapunktu, i w konsekwencji – do lekcji z historii muzyki.

Jeśli jest jakiś sens istnienia muzykologii jako dyscypliny akademickiej, to z pewnością będzie nim ten właśnie. Nieprawdopodobnej wiedzy zawartej w repertuarze klasycznym nie da się przyswoić w ciągu jednego dnia, a nawet kiedy młode uszy zaczynają już doceniać, a młode palce wykonywać mistrzowskie dzieła klasyczne, to potrzeba i tak wielu lat nauki, aby w pełni zrozumieć ich zawartość pod względem emocjonalnym i dramatycznym. Wiedza ta całkowicie usprawiedliwia istnienie całego wydziału uniwersyteckiego poświęconego zbieraniu jej, rozszerzaniu i przekazywaniu jej dalej. Lecz z pewnością, cokolwiek byśmy o niej nie powiedzieli, nie jest ona – i nigdy nie będzie – użyteczna.